

Turysto all inclusive, popsuję ci humor

[pagina] GAZETA NA URODZINY CONRADA

[podpis] MIROŚLAW WLEKŁY

[DGW RP] - Gazeta Wyborcza nr 280, wydanie z dnia 02/12/2017Magazyn, str. 15

Zdjęcia wieży Eiffla albo Big Bena na nikim już nie zrobią wrażenia. Trzeba podróżować coraz bardziej egzotycznie. Sfotografować, odhaczyć, pozostawić

MIROŚLAW WLEKŁY

Ludzi z całego świata przyciągają tu: świątynie na palach, pływające ogródki kwiatowo-warzywne i rybacy z plemienia Intha, którzy nogami obsługują wiosło, stojąc na dziobie wąskich i płytkich łodzi, a rękami łowią karpie. To głównie dzięki ich wizerunkowi wycieczki do Birmy (Mjanmy) coraz lepiej się sprzedają.

Od 2011 roku, kiedy dziesięcioletnie rządy junty wojskowej zastąpiły władze cywilne, na Birmę rzucili się turyści, a jezioro Inle stało się "must see", jednym z czterech najchętniej odwiedzanych miejsc w kraju. Mówią, że to "azjatyckie Galapagos". Znalazło się na okładce słynnego przewodnika turystycznego "Lonely Planet", a wszelkie poradniki o podróżowaniu po Birmie mówią, że kto tam nie trafi, ten gapa. Nie trzeba się nawet męczyć wielogodzinną podróżą autobusem z Rangunu, bo jezioro obsługuje położone w pobliżu lotnisku Heho.

Tych kilka lat wystarczyło, by zdegradować środowisko i kulturę tego miejsca. Inle jako pierwsze w kraju stało się ofiarą swojej sławy. Spalinowe łodzie z turystami zanieczyszczają wodę. Rośnie góra śmieci, z którą nie wiadomo co zrobić. Wycina się drzewa, ludzi wysiedla z wiosek, a na ich miejscu buduje hotele. Z jeziora znikła połowa występujących tylko tam gatunków zwierząt.

O katastrofie ekologicznej mówiono już w 2013 roku, po zaledwie trzyletnim najeździe turystów. Rok wcześniej liczba obcokrajowców przybyłych do Birmy przekroczyła rekordowy milion. W raporcie dla serwisu informacyjnego GlobalPost zacytowano 57-letniego rolnika U Yan Waya, którego dom i trzy akry ziemi, cały dorobek życia, zniszczyły buldożery. Na dawnych polach grochu i sezamu znalazły się droga i hotele. Rekompensata, którą U Yan Way dostał od inwestora, nie wystarczyła mu nawet na zakup krowy. Aby przeżyć, jego 17-letni syn musiał zrezygnować ze szkoły i zatrudnić się przy? budowie hotelu. - Turyści są może skarbem dla rządu, ale na pewno nie dla nas, biednych ludzi - mówił były rolnik.

Co roku kolejni mieszkańcy rezygnują z tradycyjnych zajęć. Ubywa ryb, więc zarzucają rybołówstwo. Zmiany klimatyczne przynoszą coraz mniej deszczów, więc brakuje plonów.

WIOSKA PO CYKLONIE

Kiedy 12 lat temu ukazała się książka "Socjologia podróży" socjologa Krzysztofa Podemskiego, niektóre jej fragmenty mogły szokować. Na przykład o Eskimosach, którzy

znieczierpliwieni turystami ogradzali swoje igloo wysokimi płotami. Albo o Papuasach, którzy za skromny napiwek wtajemniczali turystów w swoje rytuały łowców głów.

Skoro liczba przekroczeń granic na świecie wzrosła przez pół wieku z 25 mln w 1950 roku do 700 mln, świat musiał dostosować się do potrzeb turystów. I robi to nadal.

Przez jakiś czas rozwój turystyki szedł w parze z rozwojem fotografii. Tony zdjęć, zazwyczaj wątpliwej jakości, wrzuconych do opasłych albumów urozmaicały spotkania towarzyskie. A w krajach rozwijających się, jak Polska, służyły do podkreślenia swojego rosnącego statusu społecznego.

- Od wydania książki wydarzyła się rewolucja - powiedział mi Podemski. Dawniej na zdjęciu zazwyczaj widać było piramidę, a przy niej małego ludzika - właściciela fotografii. Dziś piramida jest ledwie widoczna, na zdjęciu widać głównie twarz autora selfie. Fotografia ląduje w sieci, więc po powrocie z wycieczki nie trzeba już jej nikomu pokazywać. Wieża Eiffla i Big Ben stały się passé. Wrażenie na Facebooku robi fotka birmańskiej wioski po przejściu cyklonu.

DAJ KOMUŚ ZAROBIC

W wydanym w 2006 roku w Londynie "The Ethical Travel Guide" ("Przewodniku etycznej podróży") nie brakuje przykładów na poparcie tezy, że turystyka to współczesne wcielenie kolonializmu. Jak ten z kurortu w Kenii. Joshua obsługuje tam turystów przez pół doby dziennie, za co dostaje 3 dolary. Nadgodziny są obowiązkowe, nie przysługuje mu zasiłek chorobowy. Po każdym turnusie all inclusive nad Oceanem Indyjskim wszyscy są zadowoleni: właściciel hotelu, organizator wczasów, turyści. Wszyscy oprócz Joshuy.

W jednym z kurortów Dominikany, dokąd biura turystyczne wabią obietnicą rajskich plaż, 30 stopniami przez cały rok i najlepiej rozbudowanym serwisem all inclusive na świecie, przyglądałem się kiedyś zwanym turystom z Europy Zachodniej. I zastanawiałem się, czy któryś z nich zdaje sobie sprawę z tego, że początek takiego podróżowania miał związek z walką z alkoholizmem.

Latem 1841 r. na stacji Campbell w Leicester do pociągu wsiadło 550 osób. Wycieczkę przygotowano na zjazd abstynentów. Za 1 szylinga jej organizator Thomas Cook oprócz transportu kolejowego oferował orkiestrę i wyżywienie. A na miejscu, w Loughborough w środkowej Anglii, podróżnych witały ciasteczka, herbata i plastry szynki z Yorkshire. Ludzie, którzy na miejscu składali przysięgę abstynencji, oczywiście nie zdawali sobie sprawy, że właśnie narodził się all inclusive.

Z DALEKA OD TUBYLCÓW

Od tamtego czasu system ten rozwinięto niemal do perfekcji. Możemy nawet spędzać urlop w greckim upale przy disco polo i schabowych, które przyniosą nam polscy kelnerzy, by nie narazić nas na niezbyt komfortowy kontakt z językiem greckim. Bo dla większości podróżujących zetknięcie z obcym wcale nie jest fajne.

W dominikańskim Boca Chica, gdzie zatrzymałem się, by zbierać materiał do książki "All inclusive. Raj, w którym seks jest bogiem", zauważyłem, że hotelowe alejki, deptaki, wiadukty i mostki tak prowadzą zagranicznego turystę, by nie narazić go na kontakt z

tubylcami. Ogrodzenia, mury i murki mają zapewnić mu poczucie bezpieczeństwa; oddzielić od przykrych widoków i zapachów. Izolacja jest luksusem: im droższa wycieczka, tym mniej kontaktu z realnym światem.

Mój hotel do najdroższych nie należał, do morza było jakieś 300 metrów i choć jego właściciele dwoili się i troili, by zapewnić należną izolację, to nie udało im się całkowicie wyeliminować możliwości kontaktu. Ulica Juana Bautisty Viciniego, główna w kurorcie, była dla gości mojego hotelu jedyną okazją do kontaktu z miejscowymi. Zazwyczaj niezbyt przyjemnego. Tu dwa równoległe, zupełnie obce sobie światy - turyści i tubylca - się przecinały. Miejsce to przyciągało alfonsów, dilerów, przewodników po mieście czy chłopców do towarzystwa dla białych turystek.

- Hola, amigo! Marihuana? Mujeres? - nie dawali spokoju, dopóki nie kupiło się u nich trawki, dziewczyny albo chociaż nie dało na piwo. Turyści przyspieszali tu kroku, byle tylko znaleźć się na przerzuconym nad zaniedbanymi ulicami wiadukcie dla hotelowych gości. Było z niego widać prawdziwe miasto, pozahotelowe, bez zadbanych trawników i spadających na nie z drzew czerwonych kwiatów hibiskusa. Był tam beton, a na betonie śmieci. I sporo dziewczyn z Haiti, z których każda liczyła na to, że jeśli tylko będzie głośno do turystów pokrzykiwać, to wreszcie się jej poszczęści.

Jak wszyscy, czasem bezwiednie, przyspieszałem w stronę wiaduktu. Nikt tam już człowieka nie dotknie, nikt nie zaczepi. Jeszcze tylko klimatyzowany korytarz budynku konferencyjnego i byłem na miejscu: rajska plaża, biały piasek, turkusowe morze, bary pomiędzy palmami - wszystko, co obiecywali mi w biurze podróży. Ochrona pilnowała, by nikt z zewnątrz nie naruszył mojego komfortu. Granicę wyznaczał kamienny murek sięgający łydek.

Tu: otyłe Niemki opalają się topless, niemłody Francuz na niebieskim leżaku przytula młodą Dominikankę, ekscentryczny Włoch fotografuje się w uścisku z nastoletnimi Mulatami. Poza tym darmowe drinki i zmrożone piwo.

Tam: tani rum, placki z kukurydzy i smażone ryby, zaśmiecona plaża i rozkrzyczane rodziny. No i smutne prostytutki, z których większość pracowała, by samotnie utrzymać swoje dzieci.

Widziałem z oddali, jak Dominikańczycy z zazdrością spoglądali na turystów, a turyści starali się ich nie zauważać. Nie mieli na to czasu, musieli jak najefektywniej wykorzystać swój pakiet all inclusive. 7, 10 albo 14 dni. Wszystko w cenie. 90 procent turystów wraca z wakacji w Dominikanie "całkowicie zadowolonych".

Sfotografowane, odhaczone, pozostawione. "Bo w istocie rzeczy podróżnik Zachodu traktuje świat jako nie do końca realny. Przemyka przez odwiedzone kraje i kultury niczym wiecznie spieszący się cień, niczego nie dotykając, w nic się nie angażując, zamknięty w bańce swojego poczucia wyższości" - napisała niedawno w miesięczniku "Znak" Olga Tokaruczuk, która przyznaje, że straciła ochotę do podróżowania zawstydzona własną wolnością, której nie może dać innym. "Dlaczego ja mogę pojechać do kraju pani Marrousch czy pana Ghaliba i pozostać tam właściwie tak długo, jak tylko chcę? Może nawet mogłabym się tam osiedlić? Ale ani pani Marrousch, ani pan Ghalib nie mogą tego zrobić w moim kraju".

ZADEPCZ ŚWIAT NA AMEN

W 2016 roku zanotowano kolejny rekord: liczba podróży turystów międzynarodowych zwiększyła się o następne 46 mln i osiągnęła już poziom ponad 1,2 mld.

Do Birmy, choć ogarnięta biedą i niepokojami, wciąż ściągają turyści. Hotele zainteresowane ich napływem mają gdzieś ochronę jeziora, bo liczy się dla nich doraźny zysk. I tak koło się zamyka. A Inle znika w oczach. Już jest o jedną trzecią mniejsze niż kiedyś. I jeśli tak dalej pójdzie, zniknie zupełnie. Turyści będą musieli znaleźć sobie jakieś kolejne "Galapagos". Coraz ich mniej.

"A może - kwituje Olga Tokarczuk - tym razem to my powinniśmy zostać w domu i powitać innych podróżnych?"

RP-DGW

Tekst pochodzi z Internetowego Archiwum Gazety Wyborczej.